

Walenty Kotula

„Pamiętam...” Nostalgia minionych dni: Głogów Małopolski w połowie XX w.

Chyba każdy senior wraca często myślami do lat młodości i dzieciństwa. Zdarza się tak w sytuacjach, kiedy nam ciężko, kiedy pragniemy wrócić do czasów, które – wydaje się nam – były idealne, kiedy swoim pociechom i wnukom chcemy pokazać świat dawno miniony, świat dzieciństwa ich dziadków. Świat widziany oczami dziecka zapada na długie lata w umysłach i pamięci. Tak jest i ze mną. Mimo że Głogów bardzo zmienił się od czasów, o których pragnę opowiedzieć, to ciągle mam go przed oczami. Z miasteczkiem jestem związany od blisko siedemdziesięciu lat, a wspomniany w tytule okres to czas mojej wczesnej młodości i dzieciństwa. Jak zatem jawi się w mojej pamięci tamten czas? Niby układ urbanistyczny najstarszej części miasteczka niewiele się zmienił, niby przyzwyczajenia mieszkańców są takie same jak przed półwieczem, a jednak...

Do grodu Krzysztofa Głowy od strony południowej wjeżdżało się ulicą Rzeszowską i tak jest do dziś, ale pozostałe główne ulice zmieniły nazwy i nikt już nie używa określeń typu: ulica Pod Bożnicą, Zabajska, Stykowska, Wysocka, chyba że najstarsze pokolenie. Kto dziś ze współczesnych głogowian chodzi „ścieżkami”, idzie „tyłami” do szkoły,

bawi się na „Zawałach”, czy zjeżdża na sankach z „Basty”? Gdybym zapytał młodego głogowianina, jak dojść na Księżę czy Księży Staw, Skotnię, czy wskazał Błonie, może Szpitalniówkę – zapewne zrobiłby zdziwioną minę, może nawet... popukałby się w głowę. Te miejsca nadal są, ale ich oblicze tak się zmieniło, tak zmieniły swoją funkcję i charakter, że nazwy ich wyszły z użycia. Prawdziwym balsamem jest, jeśli ktoś zwraca się w ten sposób do mnie, bo przywołuje obrazy minione, a sercu tak miłe.

Jak wyglądało życie w miasteczku, jego codzienność w okresie, który dawno minął, a który wciąż z nostalgią pamiętam? Ponieważ jest to czas wczesnej mojej edukacji, to zdarzenia związane z kształceniem, obowiązkami domowymi i szkolnymi są mi najbliższe i chętnie podzielę się uwagami na ich temat. Ale jeszcze parę słów o wyglądzie miasteczka i zajęciach mieszkańców. W tamtym czasie tylko ulica przelotowa z południa na północ miała nawierzchnię utwardzoną, pozostałe były po części wyłożone „kocimi łbami” lub wręcz pokrywał je pospolity piach i kurz, którego w Głogowie nie brakowało. Wylewanie nieczystości do rynsztoków było nagminne, bo nie było kanalizacji. Oczywiście, ruch kołowy był zupełnie inny. Przecież nikt z mieszkańców nie posiadał auta, rarytasem był rower (nawet przedwojenny, Kamińskiego, o drewnianych rafkach). Ktoś tam posiadał motorower „na pedały” lub motocykle typu SHL, WSK, a Jawa czy Panonia były istnym objawieniem. Powszechne były furmanki – obłożone półkoszkami, koła wozu drewniane, obręczowane. Jeśli ktoś posiadał wóz „gumowy”, uchodził za bogacza. Kursował wprawdzie PKS, robiąc parę kursów do południa i parę po południu i wieczorem.

Pamiętam, kiedy w latach sześćdziesiątych uczęszczałem do liceum w Rzeszowie, to na noc, jeśli jakaś impreza szkolna kończyła się późnym wieczorem, musiałem zatrzymać się u rodziny albo któryś z kolegów rzeszowian ofero-

wał mi nocleg. W innym przypadku pozostawał spacer do Głogowa (około 12 km). Parę razy jako licealista ten dystans pokonałem. Dziś rzecz nie do pomyślenia.

Problem komunikacji międzymiastowej w jakiejś części został rozwiązany, gdy na początku lat sześćdziesiątych Głogów uzyskał połączenie kolejowe z Rzeszowem, a później z Kolbuszową i Sandomierzem.

We wspomnianych latach zaczęły się dość radykalne zmiany w zajęciach mieszkańców. Mężczyźni, którzy przez wieki zajmowali się różnymi rzemiosłami, zatrudniali się jako robotnicy w miasteczku lub znaczna grupa w pobliskim Rzeszowie. W tym to czasie został urobiony termin – pewnie na potrzeby nowej „władzy”: „chłopo-robotnik”.

Pozostała w miasteczku grupa rzemieślników, którzy byli wierni tradycji i dalej uprawiali swój wyuczony zawód, przekazany jak nakazywała tradycja „z ojca na syna”. Byli to przede wszystkim murarze (po głogowsku: muliki), masarze (producenci wędlin, kiszek, salcesonów). Swój zawód wykonywali pokątnie, nie rozgłaszali, że trudnią się tym starym rzemiosłem głogowskim ze względu na to, że władza ludowa „ścigała” ich za to i często karała. Szczęśliwie udawało się im omijać przepisy w myśl zasady „Polak potrafi”. Tym rzemiosłem zajmowali się przede wszystkim Grodeccy, Ładosie, Kałkowsy, Tęcze.

Są do dziś w miasteczku znakomici masarze, ale są to przybysze i z tradycją głogowską niewiele mają wspólnego. Głogów słynął również ze znakomitych szewców, którzy usługiwali mieszkańcom w tak praktycznej i pożytecznej dziedzinie funkcjonowania codziennego. Do tej grupy należy zaliczyć rodziny Krydów, Gniewków, Lasocińskich. Z chwilą kiedy odeszli, nikt z potomków nie przejął tradycyjnego zawodu. Przyczyny tego stanu rzeczy były różne. Wydaje mi się, że głównie rozwój przemysłu, nowe technologie wykonywania obuwia itp. (buty wykonywane przez rzemieślników były o wiele droższe od dostępnych w sklepach).

Z tych starych tradycyjnych zawodów ostali się jedynie murarze i zawody związane z budownictwem mieszkaniowym. Pod koniec XX wieku Głogów zmienił bardzo swe oblicze i jest ogromne zapotrzebowanie na te usługi.

Parę słów pragnę poświęcić kobietom, bo to one „kręcą szyją i chałupą”. Przecież, i tak jest chyba do dziś, „na ich głowach” jest cały dom. W czasach mojego dzieciństwa nasze mamy, ciocie, znajome z rzadka pracowały zawodowo. Były przysłowiowymi gospodyniami domowymi. Jest to bardzo szerokie pojęcie. Trzeba się było sporo napracować, nakrzętać, by coś z tego mieć. Dbały, żeby było coś „do garczka włożyć”, kontrolowały postępy pociech w szkole, troszczyły się, by szafarki były pełne przetworów na zimę, a przede wszystkim obsługiwały „chudobę”. Trzeba wiedzieć, że wtedy prawie każda rodzina posiadała „kawałek” pola. Przykładem jest moja rodzina. Było tego około 6 mórg. I żeby ten kawałek pola przynosił jakiegokolwiek zyski, dbała o to moja Mamusia. Pewnie tak było w większości domów w Głogowie. Nadwyżkę płodów rolnych sprzedawało się do GS-u, po mleko przychodziły bliższe i dalsze sąsiadki (po ociepleniu krowy i odchowaniu cielątka część mleka odbierała mleczarnia). W tamtym czasie były tak zwane dostawy obowiązkowe i trzeba było oddać haracz państwu, nazywany trochę okupacyjnie kontyngentem. O to wszystko dbały kobiety. Uświadamiam sobie teraz, że moja Mamusia nie była zawodową ekonomistką, nie miała studiów menadżerskich, ale przychody i rozchody w domowym gospodarstwie zawsze przynosiły mniejszy lub większy zysk. Dbanie o gospodarstwo należało do kobiet, bo tak były wychowywane przez pokolenia. Jednym z ich obowiązków było kiszenie kapusty. Był to cały ceremoniał. Kapustę liczone na kopy i w zależności od wielkości rodziny i potrzeb przygotowywano odpowiednią jej ilość. Do tej pracy byliśmy zaangażowani wszyscy, a także najbliższe sąsiadki i ciotki, które później miały udział w korzystaniu z beczki. Czas kiszenia

przypadał na połowę października. Głowy tego warzywa trzeba było odpowiednio dobrać, obrać z wierzchnich liści, przygotować marchew, cebulę, sól i inne przyprawy. Na noc tak przygotowaną kapustę moczyło się w baliach. Od świtu na drugi dzień wrzała praca. Najpierw warzywo szatkowano. Odkładało się je następnie do uprzednio przygotowanych miednic, dzieży i innych pojemników. Teraz następował najważniejszy moment: należało to wszystko odpowiednio przyprawić. I tu zaczynała się frajda dla nas, dzieci – ubijanie kapusty, czyli dreptanie. W grę nie wchodziły żadne ubijaki czy pałki, trzeba było wszystko zrobić fizycznie, naszymi małymi nóżkami, dlatego dzieci nadawały się do tego idealnie. Wiele było przy tym śmiechu, zabawy, ale to również ciężka praca. Mamusia sprawdzała, czy dobrze wykonujemy zadaną pracę. Pamiętam, że aby kapusta była dobrze ubita i dobrze się ukisiła, do beczki musiała zmieścić się trzykrotność objętości naczynia. Taki był nasz mały wkład w uzupełnianiu spiżarni. Potem przez kilka tygodni beczka zajmowała poczesne miejsce w kuchni, by zawartość dobrze się ukisiła. Po tym okresie „wytowarzało się” ją do sieni. Oczywiście, bardzo dbało się o nią. Trzeba było co parę dni ściągać dągi (specjalne deseczki), wymyć je wrzątkiem, podobnie postępowano z kamieniami, które uciskały kapustę. W tym czasie większość prac gospodarczych i polowych było wykonywanych ręcznie, siłami tylko mięśni.

Skąd moja Mamusia brała siłę do tych prac? Zachodzę w głowę, jaką siłę fizyczną, siłę ducha i woli posiadała, ale wszystkie kobiety, które znałem, taki styl życia prowadziły. Pierwsze wstawały, a spać kładły się ostatnie. Może brało się to stąd, że były zdrowe, odżywiały się w sposób tradycyjny. Nie pora, by opisywać inne zajęcia tak zwanych gospodyń domowych. Nie użalały się na swój los. Były pogodne, często wesołe, lubiły żartować i płatać figle. Miały czas także, a jakże, na rozrywkę i kulturę.



Il. 1. Noszenie wody ze studni do domu było kiedyś codziennością

Tradycją miasteczka były różnego rodzaju zajęcia kulturalne. Nadmienię tylko, że przy Domu Kultury istniało koło teatralne, działał chór, orkiestra dęta. Mimo natłoku zajęć i obowiązków mieszkańcy znajdowali czas na tę działalność. Niejako animatorem kultury w Głogowie był organista z Bud Głogowskich – pan Edward Kotula. Wychował całe pokolenia chórzystów, aktorów. Przygotowywał scenariusze, reżyserował, stwarzał aranżacje na potrzeby grup scenicznych itp. Jak pamiętam, na te występy mieszkańcy niecierpliwie oczekiwali i sala widowiskowa zawsze pękała w szwach. Ze swoimi występami jeździli do bliższej i dalszej okolicy.

Opiszę wygląd i wnętrze domu przeciętnego głogowianina z tego okresu. Po kilku pożarach na początku XX wieku miasteczko odbudowało się już murowane i większość tych domów z późniejszymi przeróbkami i remontami istnieje do dziś. Nasz dom znajdował się (i do dziś mieszka w nim najstarszy mój brat Antoni z rodziną) przy ulicy Wysokiej, czyli Mickiewicza. Do domu prowadziła potężna brama wjazdowa, ponieważ pełniła różne funkcje (przegonu bydła, przejazdu z płodami rolnymi itp.) żartobliwie nazywana przez mieszkańców „carskimi wrotami”. Za nią była okazałych rozmiarów sień (po głogowsku – siń). Była w niej położona polepa gliniana, bo w okresie jesiennym młócono na niej snopy ze zbożem. Odbywało się to ręcznie – cepami. Kto dziś pamięta takie typowe dla Polski tego okresu pierwsze „kombajny”. Zapamiętałem, że do tych prac był najmowany chłop z Bud Głogowskich, pan Tylutki. Polepa do tej pracy nadawała się idealnie, bo nie pękała i nie kruszyła się przy uderzeniu cepem. Jeszcze jedno. Ponieważ młóceć brał zapłatę od snopa, to te były naprawdę nabite i ciężkie. Trzeba było się wiele natrudzić, by je zrzucić ze strychu do sieni. Dziennie mógł młóceć wymłócić kilka kop zboża (kopa – 60 sztuk).

W sieni obok komina w większości domów były grubki – małe piwniczki, w których przechowywano najczęściej wa-

rzywa i drobne ziemniaki. Z sieni wchodziło się na strych, który pełnił różne funkcje gospodarcze. Przechowywano na nim snopy ze zbożem i słomę po młocce oraz siano. Strych pełnił także funkcję lamusa.

Dom składał się przeważnie z dwóch izb i komory. Pierwsza to kuchnia, w której najchętniej się przebywało. Początkowo królował w niej potężny piec, najczęściej mурowany z szamotki, oblepiony gliną z solą, by dobrze trzymał ciepło i nie było w nim szpar (ochrona przed czadem). Kilka razy w roku był bielony wapnem. Ważną częścią w nim był piec chlebowy i tzw. zapiecek, ulubione miejsce starszych ludzi do ogrzewania „starych kości”. W tym pomieszczeniu był również duży kredens, stół z krzesłami, częściej ze stołkami. Przeważnie w rogu, przy wejściu do pokoju znajdowało się łóżko (luśpanek) lub z pańska nazywane kanapą – otomaną. Kuchnia wyłożona była podłogą, którą raz w tygodniu (najczęściej w sobotę) szorowano. W większości domów przy kuchni znajdowała się komora, która była podręcznym magazynkiem żywności i spiżarką.

Pokój był reprezentacyjnym miejscem. Tam w łożu małżeńskim sypiali rodzice. W nim składało się pościel (pie-rzyny i poduchy) i przykrywano ozdobną kapą. W pokoju był reprezentacyjny stół (rozkładany) na potrzeby gości, dwie szafy – bieliźniarka i trójdzielka. Meble te wykonywał znany w tym czasie w miasteczku stolarz, pan Stanisław Majka. Do dziś w moim rodzinnym domu są meble przez niego wykonane, a mają już ponad 76 lat. To świadczy o solidności rzemieślników głogowskich.

Za domem był ogród. W nim były różne budynki gospodarze: komórki, chlewik, stajnia, kurnik, składzik na opał, mały warzywnik i oczywiście „sławojka”, bo w domach nie było jeszcze toalet. Ogród kończył się bramą przy drugiej ulicy.

Ważnym momentem w życiu młodego pokolenia głogowian był czas Adwentu i Świąt Bożego Narodzenia. Jak to

Kościół Katolicki pięknie nazywa – czas radosnego oczekiwania – Adwent. W czasach mego dzieciństwa inaczej oczekiwaliśmy na pojawienie się Bożej Dzieciny. Nie było tyle szumu medialnego, tylu błyskotek, reklam, zachęty do kupowania, odwiedzania marketów i koniecznie nabycie „sterty” zbędnych towarów, bo... przecież święta.

To najważniejsze, to duchowe przeżycie, zostaje gdzieś z tyłu, a może o nim wcale już się nie myśli? Polska tradycja adwentowa nakazuje oczekiwać w wyciszeniu, skupieniu... „a w czasie Adwentu hucznych zabaw nie urządzać...” Przez cały grudzień trwały intensywne przygotowania do nadejścia tego oczekiwanego Dnia. Przede wszystkim skoro świt goniliśmy uliczkami do kościoła na „Roratki”. Było to wyzwanie nie lada dla kilkuletnich szkrabów, bo msze roratnie odbywały się bardzo wcześnie. Tak trzeba było, bo tego wymagała tradycja, dom i wiara.

W adwentowy miesiąc dorośli przygotowywali domy i gospodarstwa do świąt. Gromadzono zapasy paszy dla bydła, po stodołach furkotały siewkarnie, młynki ze zdwojoną siłą meły zboże na mąkę i otręby. Doglądano tuczniaki, czy aby będą akuradne na ubój świąteczny, podkarmiano drób, szczególnie kaczki, gęsi i indyki. Na potrzeby rodziny i świąt pokarmy produkowano we własnym gospodarstwie, w sklepach „kołchozowych” zaopatrywało się tylko w niezbędne towary.

My, dzieci, myśleliśmy o czym innym. Był to najwyższy czas przygotowania programu kolędowania, ozdób choinkowych, dopracowania programu wystawienia szopki świątecznej. To była prawdziwie wyteżona praca. Tu liczyły się nie tylko zdolności manualne, ale własna inicjatywa i pomysłowość. W trzecim tygodniu Adwentu trzeba było pomyśleć o choince. Oczywiście, musiała to być piękna, gonna jodełka. W jaki sposób trafiały one do naszych domów? Wymownie przemilczę. Było to zadanie dorastającej młodzieży. My, dzieciarnia, mieliśmy ją pięknie ubrać, czyli przyozdobić. Więk-

szość ozdób wykonywaliśmy sami. Orzechy włoskie owijaliśmy w srebrne papierki i wbijaliśmy małe gwoźdźki, by przymocować nitkę. Dobieraliśmy odpowiednie jabłka z szypułkami. Łańcuchy ozdobne wykonywaliśmy ze słomek i kolorowego papieru. Figurki aniołków oraz innych postaci, gwiazdki były wykonywane też ręcznie. Choinkę ubieraliśmy w przedpołudnie wigilijne. Długoletnią tradycją miasteczka było „chodzenie” w Święta z szopką, turoniem i kłapą.

Grupy kołędników ćwiczyły intensywnie przez cały grudzień. Zespół kołędniczy składał się z kilku osób. Dwóch najsilniejszych niosło szopkę i pomagało w śpiewaniu kołęd. W grupie był animator kukiełek, żyd, żołnierz i wcielenie zła – diabeł. Szopkę wykonywaliśmy sami z deszczułek, dach musiał być koniecznie ze strzechy, czyli umieliśmy także wykonać tzw. kiczki. Figurki potrzebne do jasełek strugaliśmy samodzielnie z miękkiego drewna. Stroiliśmy i malowaliśmy je. O swój strój Żyd, Żołnierz i Diabeł musieli zadbać sami. Próby odbywały się w sieniach domów lub w różnych przybudówkach i budynkach gospodarczych. Recenzentami poczynań byli najczęściej rodzice, dziadkowie, którzy służyli radą, wnosili korekty, bo nasz występ w Święta musiał być najpiękniejszy i długo powinien być wspominany przez mieszczan. Różne były scenariusze i wersje występów szopkowych (w tym czasie po miasteczku krążyło kilka grup), ale zawsze po wejściu do domu śpiewaliśmy:

„Przynosim szopę, gdzie się Jezus rodzi, Maryja z Józefem, do państwa przychodzi...” W czasie występu śpiewaliśmy popularną w Głogowie pastorałkę:

„Wziął se Franek obwarzanek i jajeczko gęsie...”

Koniecznie musiał być występ kukiełek – Sury i Mojska („Sura i Mojsiek to są przyjaciele. Sura daje pyska, a Mojsiek się śmieje”). Interesujący był występ Żyda.

– Skądżeś, Żydzie?

– Z Prokocima, panie.

– Czym się trudnisz?

– Graniem, panie...

Żołnierz okładał płazem szabli nieszczęśnika, a ten:

„Aj, waj rum pum pum, jak pon każą, tak jo grum!”

Nieodłącznym elementem był występ diabła, który porywał Heroda do piekła mówiąc:

„Za twe grzechy i zbytki, chodź do piekła, boś brzydki”.

Kolędę kończyła pastorałka: „Za kolędę dziękujemy, szczęścia, zdrowia wieszujemy...”

W czasie występu śpiewaliśmy wspólnie z domownikami kolędy. Musieliśmy je znać doskonale i dużo zwrotek, by nas nie „wzięto na języki”. Z szopką chodziliśmy po Wigilii i w Szczepana. Na Trzech Króli chodziło się z turoniami lub kłapą.

Inną tradycją tamtych świąt było „stodrokowanie” w Nowy Rok. Wczesnym rankiem w to święto stawaliśmy u progów wybranych domów i śpiewaliśmy życzenia, oczekując na drobne datki: „Stodroki, kołoki powiadali wom, śliczno pani, grzeczno pani, dejcie chleba krom, zapłaci wom Pan Bóg z nieba i ten święty Jon” itd. Po pięknym śpiewie otrzymywaliśmy kolędę – poczęstunek. Pamiętam, że moi rodzice mieli przygotowane drobniaki, by uszanować wstępujących w nasze progi.

W tamtych czasach głogowianie byli bardzo mocno związani z cyklami przyrody i w czas świąt godnych pilnie obserwowali zmiany w przyrodzie, by przewidzieć pogodę na przyszły rok. Zaczynało się wszystko od św. Łucji (13 grudnia). Długoletnią tradycją w moim domu było zapisywanie pogody od tego dnia na przyszły rok. Od lat „bawię się” w te przepowiednie. Zawsze mi się sprawdza, trzeba tylko odpowiedniej interpretacji w myśl zasady: jak nie będzie słońca, to może lać.

Bycie w zgodzie z cyklami przyrody wiązało się z zajęciami ludności. Nasze zajęcia (zabawy) też temu cyklowi podlegały. Nasze harce i zabawy miały charakter sprawn-

ściowy i dydaktyczny. Zajęcia te miały inny charakter na wiosnę, inny w lecie czy zimie. W długie wieczory jesienne i zimowe nie nudziliśmy się, mimo że nie było telewizji, radio nadawało dwa programy, a o współczesnych nośnikach informacji nikt nie słyszał. Powszechne było czytanie książek, wypożyczanych w bibliotekach. Po wojnie działały w miasteczku trzy (publiczna, szkolna i fabryczna). W domu kultury działało kino Włókniarz, filmy były wyświetlane cyklicznie (wtorek – środa i sobota – niedziela). Seanse cieszyły się dużą popularnością. Chętnie braliśmy udział w licznych zajęciach pozalekcyjnych i pozaszkolnych w szkole i domu kultury.

Wolny czas po lekcjach i obowiązkach domowych spędzaliśmy na świeżym powietrzu. Zimą najpopularniejsze były sanki. Zjeżdżało się na nich z „Morcinowej Górki”, z górka za stodołami Piechowskich i księżej. Górki to resztki obwałowań Głogowa. W znacznej części teren uległ dewastacji i został zniwelowany. Po mszy niedzielnej zimą organizowaliśmy duże wyprawy na Piekiełko lub na góry za Borsukiem. Nikt z nas nie posiadał sprzętu kupnego. Wykonywali go dla nas rodzice lub krewni. Na wspomnianych górkach nie tylko szusowaliśmy, także budowaliśmy skocznie narciarskie i organizowaliśmy zawody w skokach, które już wtedy były popularne. Rekordowe skoki wynosiły nawet kilkanaście metrów.

W latach pięćdziesiątych nie kursowały jeszcze autobusy do Bud Głogowskich, Wysokiej czy Przewrotnego, toteż nikt nie odśnieżał ulic. Śnieg sprzed domów odrzucało się na środek ulicy. Z czasem powstawały naturalne tunele, które były dla nas rajem. Organizowaliśmy w nich wyścigi na sankach. Trzeba tylko było wykonać krótkie kijki, do których wbijano gwoździe. Siedząc na sankach odpychało się kijkami i to była cała filozofia ścigania się. Trasy wyścigów były różnej długości i o zróżnicowanym stopniu trudności. Na równi z nami konkurowały dziewczęta.



Il. 2. Autor (z lewej) bawi się z kolegą na stawie przy dawnym wale obronnym otaczającym niegdyś Głogów Małopolski, zdjęcie z 1957 r.

Innym zajęciem było wykonanie budowli ze śniegu i lodu. Nigdy nie posiadliśmy umiejętności Odarpiego¹. Wiele trudu wymagało wybudowanie prawdziwego igloo. Jeśli już powstało, spędzaliśmy w nim sporo czasu. Wieczorami trzeba było go pilnować, bo zazdrośni koledzy mogli je zniszczyć. Najlepsze budowle powstawały na tzw. ogrodach i na okopisku, czyli dawnym cmentarzu żydowskim.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku w miasteczku były co najmniej trzy sadzawki (małe stawki, które pełniły różne funkcje) i potężny Staw Traczewskich – popularna Tratwa. One w zimie dostarczały wielu przeżyć i uciech. Zamarznięte były naturalnymi ślizgawkami. Początkowo jeździło się na łyżwach przykręcanych do butów (tzw. żabki lub blaszki), później na łyżwach z butami. Ulubione konkurencje to hokej i łyżwiarstwo szybkie. Wiadomo,

¹ *Odarpi, syn Egigwy* – książka autorstwa Centkiewiczów (Red.).



Il. 3. „Łowienie” ryb w rozlewiskach potoku Szlachciny było świetną zabawą. Dzisiaj nie ma już rozlewisk, a potok został skanalizowany

że do gry w hokeja potrzebny jest kij i krążek. Materiału na kijki w miasteczku nie brakowało, a krążek to puszka po konserwach.

Wspomniałem o sadzawkach głógowskich. Ich teren w okresie wiosennym był miejscem spotkań i zabaw. W nich poiono bydło i konie, drób miał frajdę z darmowych kąpiei, kobiety prały tam „chusty” i nad brzegami je suszyły. To również miejsce naszych zabaw i wyścigów. Kiedy

tylko puściły lody, pływaliśmy na krach lodowych. Często te spływy kończyły się przymusową kąpielą w lodowatej wodzie, a w domu czekała bura lub kłęczenie na grochu. Późną wiosną i latem próbowaliśmy łowić ryby, rezultaty połowów były mizerne.

Sadzawki były królestwem zab. W kwietniu i maju chóry tych płazów dawały prawdziwe mickiewiczowskie koncerty. Z zaciekawieniem obserwowaliśmy galaretowaty skrzek, który jakby dywanem pokrywał powierzchnię akwenu, nieco później czarniutkie kijanki, a na koniec dorosłe osobniki. Teren był przede wszystkim miejscem zabaw, gier i zawodów. Odległość między sadzawkami nie była duża. Trasa tworzyła pętlę i to nam wystarczało. To były krosy, wyścigi rowerowe. Liczyło się zajęte miejsce, a nie czas. Najlepsi posiedli niezłe umiejętności w jeździe rowerem, by pokonać ostre wiraże i ominąć ludzi idących ścieżkami w swoich sprawach. Często gwałtowne hamowanie kończyło się na płocie Matejskich lub ciotki Jarońki, a co gorsze – w wodzie sadzawki. Sińców, zadrapań, drobnych urazów nikt nie liczył.

W pobliżu tych miejsc był plac po zburzonej po wojnie bożnicy (synagodze). On to pełnił funkcję nieformalnego placu zabaw. Był dość duży i można było do woli na nim szaleć. Jedynie w poniedziałki zamieniał się w plac targowy i był dostępny dla nas po południu, po uprzednim uprzątnięciu go z „prezentów” pozostawionych przez konie, tuczniaki, drób i bydło. Zabawy nasze to popularne berki, klupanie, gra w kiczki, policjantów i złodziei, ogórka. Tam mieliśmy swoje boisko do gry w nogę, zośkę i mitki. Jesienią plac zamieniał się w boisko do gry w palanta albo miejsce do puszczania orłów – latawców.

Obraz tamtego Głogowa jest w mojej pamięci bardzo sugestywny. Moi rówieśnicy może inaczej postrzegają minioną rzeczywistość, ja tak ją zapamiętałem i podzieliłem się jej okruciami. Moje pokolenie zostało tak wychowane, by uczestniczyć w życiu rodziny. Mieliśmy swoje obowiązki,

ale sporo czasu pozostawało na rozrywkę i zabawę. Przedstawiłem tylko fragmenty dnia codziennego Głogowa z połowy XX w. Starłem się przedstawić świat widziany oczami dziecka w sposób bardzo osobisty. Czas zatarł niektóre fakty i obrazy, te najbardziej wyraziste zostały w pamięci.

Czy moje dzieciństwo było uboższe od tego, jak żyją współczesne dzieci? Nie śmiem tak twierdzić. Było po prostu inne, bo inne były czasy i uwarunkowania. Wspominam je z sentymentem. Chciałbym, by dzieci wieku XXI zachowały w sobie choć część fantazji i sprawności ich dziadków.